

KORRESPONDENCJA MAREK MAGIEROWSKI, GENEWA

Chwalcie się, a zarobicie

Polska wystawa przemysłowa w genewskim laboratorium fizycznym

Wiele polskich firm nie zdaje sobie sprawy, że bycie dostawcą największego laboratorium jądrowego na świecie to wielki prestiż, że czasami warto zadowolić się minimalnym zyskiem, byle tylko się pochwalić: "Moje blachy są w CERN-ie" - mówi Stanisław Szpilowski, dyrektor departamentu nauki i techniki w Państwowej Agencji Atomistyki

Chcecie spotkać kogokolwiek w ośrodku badań fizycznych pod Genewą? To nie takie łatwe. Od rana do wieczora w tym małym miasteczku, w którym pracuje ponad sześć tysięcy osób z całego świata, króluje senność. Od czasu do czasu przejedzie samochód z niebiesko-zielonym napisem CERN, raz na godzinę między budynkami pojawi się jakiś człowiek.

Ale zajrzyjcie o 12.30 do miejscowej kantyny - kilkaset osób spożywa w pośpiechu lunch, przeglądając papiery z tajemniczymi rysunkami czy prowadząc w podnieceniu rozmowy o cząstkach, akceleratorach i magnesach. Po angielsku, włosku, hiszpańsku, rosyjsku, portugalsku czy polsku. Tutaj mówi się językiem nauki, nie biznesu, choć - jak łatwo się domyślić - gdzie przeprowadza się wielkie naukowe eksperymenty wymagające ogromnych nakładów finansowych, tam można też zarobić grube pieniądze.

Jak? To proste. Każdy eksperyment prowadzony w CERN-ie to masa skomplikowanych urządzeń, ale też pełno żelastwa, kabli, żarówek i nitów, które trzeba połączyć w logiczną, funkcjonalną całość. Można też zarobić na utrzymaniu budynków w ośrodku, najprostszych pracach remontowych czy nawet sprzątaniu chodników.

Kto na tym zarabia? Każdy z krajów, które finansują działalność CERN-u, a raczej firmy z tych państw mające prawo uczestniczenia w przetargach organizowanych przez laboratorium. Jest jeden problem: każdy kraj nie zarobi - z grubsza rzecz biorąc - więcej, niż wynosi jego składka członkowska. A składki są oczywiście zróżnicowane. Przedsiębiorstwa francuskie i niemieckie mogą zyskać więcej, bo rządy tych krajów więcej wykładają na CERN. Firmy z Polski - dużo mniej, ale jest o co się bić, tym bardziej że Polsce daleko jeszcze do wyczerpania limitu (nasza roczna składka to ponad 13 mln franków szwajcarskich).

Dziś kończy się druga wystawa polskich firm przemysłowych w CERN-ie - poprzednia odbyła się pięć lat temu. W 19 stoiskach nasi biznesmeni chwalą się produktami, których nie uświadczysz na półce w supermarkecie. Od diod, przez kompresory, do wielkich kotłów próżniowych. Są też tacy, którzy liczą na kontrakt w bardziej prozaicznej dziedzinie - wrocławska firma Impel SA chciałaby np. administrować budynkami CERN-u, zapewniać ochronę czy utrzymywać w nich czystość.

- Naszych firm jest wprawdzie dwa razy więcej niż podczas niedawnej wystawy Greków, ale to i tak za mało - narzeka dr inż. Maciej Chorowski z firmy Techtra organizującej wystawę. - Niektóre staramy się zaciągnąć tutaj za uszy. Przecież różne przetargi odbywają się w

CERN-ie właściwie co chwilę, mogłyby choćby spróbować. Ale są uparte.

Kilka lat temu szanse na zdobycie kontraktu miała pewna kopalnia z Dolnego Śląska. CERN potrzebował do jednego z eksperymentów sześciu ton antracytu, a owa kopalnia wydobywała ten surowiec. Szefowie kopalni uznali jednak, że takie zamówienie byłoby "zbyt małe" i nie warto nawet tłumaczyć z angielskiego dokumentów przetargowych. - Sześć ton? Kilkaset, o, tobyśmy się zastanawiali - tłumaczyli szefowie kopalni.

- Wiele polskich firm nie zdaje sobie sprawy, że bycie dostawcą największego laboratorium jądrowego na świecie to wielki prestiż, że czasami warto zadowolić się minimalnym zyskiem czy nawet dołożyć do interesu, byle tylko się pochwalić: "Moje blachy są w CERN-ie" - mówi Stanisław Szpilowski, dyrektor departamentu nauki i techniki w Państwowej Agencji Atomistyki.

Są jednak firmy, które traktują CERN jako trampolinę dla swojego biznesu. - Staranie się o kontrakt w genewskim laboratorium to przedsmak tego, co nas czeka po wejściu Polski do Unii Europejskiej, gdy będziemy mogli brać udział w przetargach publicznych niemal na całym kontynencie - mówi Tomasz Sawczyn z Elektrotimu, firmy projektującej m.in. sieci elektroenergetyczne.

W tym roku swoje stoisko miało też raciborskie Rafako, jedna z nielicznych polskich firm, które już wygrały duży przetarg w CERN-ie. Kilka lat temu firma ta dostarczyła do laboratorium specjalistyczne kotły. Ale nic nie jest wieczne - gdy jakiś eksperyment, czy też jego część, się kończy, urządzenia są demontowane. Tak stało się też z kotłami Rafako. Trzeba walczyć o kolejną umowę. - Niestety, nie mamy i nie będziemy mieli w najbliższym czasie w Polsce energetyki jądrowej, dla której moglibyśmy produkować różne urządzenia i nieźle z tego żyć - mówi Dariusz Jankowski, specjalista do spraw eksportu w Rafako. - Zostaje CERN - nie tylko jako źródło ewentualnych zysków, lecz także jako miejsce, gdzie można się wiele nauczyć. Jeśli ktoś chce poznać najnowsze technologie stosowane w przemyśle, to tylko tutaj.

Polskim firmom niełatwo będzie zdobyć nowe kontrakty. Konkurencja jest ogromna, niektórzy - jak mówi jeden z młodych polskich inżynierów pracujących w CERN-ie - "rozpychają się łokciami i dobrze na tym wychodzą". Tak jak Finowie, którzy postanowili dopłacić pewnej firmie z budżetu państwa, by tylko mogła ona zaniżyć cenę swoich produktów i wygrać przetarg.

Naszego budżetu na to nie stać. Możemy jednak rywalizować tańszą - wciąż jeszcze - siłą roboczą oraz, o dziwo, technologią. - Jak się tak dobrze przyjrzeć, to w tym segmencie rynku naprawdę mamy się czym pochwalić - mówi Chorowski. - Tylko nie wszyscy chcą się chwalić.

CERN powstał w 1954 r. Akt założycielski podpisało 12 państw, które uznały, że badania nuklearne są na tyle drogie, że należy połączyć siły i prowadzić je w jednym laboratorium.

Obecnie CERN ma 20 członków. Polska należy do organizacji od dziewięciu lat. Siedziba ośrodka znajduje się w Szwajcarii, ale słynny 27-kilometrowy akcelerator, w którym przeprowadza się najważniejsze doświadczenia, leży głównie na terytorium Francji - ponad 100 m pod ziemią.